

Władysław Krajewski

Oświecenie, racjonalizm, komunizm. Polemika z Leszkiem Kołakowskim

Uwagi wstępne

Przeciwno tradycji Oświecenia, racjonalizmu czy „nadużywaniu rozumu” występują często zwolennicy światopoglądu religijnego, w tym katolickiego. Jest to o tyle dziwne, że tomizm wysoko ceni rozum (obok wiary), o czym przypomniał nie tak dawno w encyklice *Fides et ratio* Jan Paweł II. A najostrzej krytykują racjonalizm reprezentanci New Age i postmodernizmu, skądinąd zwalczani przecież przez Kościół. Nie będę się tu jednak zajmował nimi wszystkimi, ograniczając się do dyskusji z jednym autorem, a mianowicie z Leszkiem Kołakowskim, ściślej — z pewnymi z jego utworów, zgromadzonych w zbiorze *Moje słuszne podglądy na wszystko* (Znak, 1999, cytuję według stron tego wydania).

Od pewnego czasu bliski chrześcijaństwu, nie należy on, jak sam mówi, do żadnego kościoła ani też do żadnej szkoły filozoficznej. Jest wszakże jednym z najwybitniejszych naszych filozofów, toteż to, co mówi, przyciąga szczególną uwagę. Najczęściej zgadzam się z nim, nieraz podziwiając jego przenikliwość. Ale czasem jego wypowiedzi proszą się o sprzeciw, na który rzadko ktoś się decyduje. Zresztą w ogóle polemiki zanikają w naszym życiu filozoficznym, każdy woli uprawiać swój ogródek. Do chlubnych wyjątków należy Helena Eilstein. Jej książeczka *Jeśli się nie wierzy w Boga... Czytając Kołakowskiego* (Aletheia, 1990), jest polemiką, moim zdaniem, bardzo trafną i głęboką, z książką *Jeśli Boga nie ma...* (niestety pozostała bez odpowiedzi). Ja chcę się zająć wypowiedziami z wyżej wymienionego zbioru, ale na początku mała uwaga o innej nowszej publikacji.

W końcu miniwykładu *O przemocy* Kołakowski mówi, że „nie jest nierozumne starać się o taki świat, gdzie przemoc będzie skierowana tylko przeciw niewoli, zbrodni, agresji i tyranii. Nie jest to nierozumne również wtedy, gdy mamy wielkie i dobrze uzasadnione wątpliwości co do tego, czy taki świat kiedykolwiek istnieć będzie” (*Mini-wykłady o maxi-sprawach*, Znak, 2000, s. 77). Ale przecież jest tu elementarna sprzeczność: autor wymienia właśnie cztery

główne formy przemocy! I chce starać się o świat, w którym będą one nadal istniały i w którym trzeba będzie nadal odpowiadać na nie przemocą! Nie zauważył tej sprzeczności również Zygmunt Bauman, przytaczając z entuzjastyczną aprobatą powyższą wypowiedź („Gazeta Wyborcza”, 6 marca 1997).

Ale przejdźmy do głównego tematu niniejszego artykułu.

Oświecenie

W odczycie *Nasza wesola apokalipsa* (1997) Kołakowski twierdzi, że „sceptyczny racjonalizm” Oświecenia zniszczył opartą na „przestrzeni mitologicznej” i dającą nam „bezpieczeństwo moralne” wiarę w „prawo naturalne”, niezależne od woli ludzi. Pyta następnie: „Czy więc mamy Oświecenie potępić? Wielu dziś to czyni, nade wszystko, lecz nie wyłącznie, z perspektywy chrześcijańskiej [...]. Był to, jak mówią wrogowie, bałwochwalczy [...] projekt [...] samo-zbawienia człowieka [...], odróżnienie dobra od zła zastąpiły kryteria utylitarne. Fundamentalne więzi, które podtrzymywały ludzką wspólnotę — rodzina, religia — zostały wyszydzone lub gwałtem rozerwane [...] Istnienie ludzkie zostało zredukowane do jego czysto naturalnych określników, a przez to osoby ludzkie stały się całkiem wymienialne — niczym cegły w ścianie: tak to w końcu zostały położone podstawy dwudziestowiecznego totalitaryzmu” (s. 44).

A więc, tym strasznym filozofom Oświecenia przypisuje się traktowanie ludzi na podobieństwo cegieł... Robi się trochę lżej, gdy Kołakowski zauważa, że pogląd ten, chociaż rozpowszechniony, nie zdobył sobie monopolu, nawet w literaturze chrześcijańskiej. Pewne idee Oświecenia mają nawet rodowód chrześcijański, np. prawa człowieka i równość płci (co jest raczej wątpliwe), ale już nie wolność religijna. Mimo to zachodzi nieusuwalny konflikt między konsekwentnym racjonalizmem a religią, gdyż nie ma „czegoś takiego, jak religia racjonalna” (s. 45). Swojego stosunku do Oświecenia autor tu wyraźnie nie określa.

Wcześniej, w wykładzie *Bałwochwalstwo polityki* (1986), cytując wypowiedź Jaspersa, że gdyby stał w obliczu niedobrego wyboru między totalitaryzmem chrześcijańskim i komunistycznym, wybrałby ten pierwszy, gdyż wówczas nasza cywilizacja nie utraciłaby ciągłości, Kołakowski zauważa: „Ci z nas, których umysły ukształtowane były w znacznym stopniu przez Oświecenie i którzy nie chcieliby tego dziedzictwa całkiem odrzucić [...], myślą ze zgrozą o możliwości takiego wyboru” (s. 252). Jest to wypowiedź wyraźniejsza: „nie całkiem odrzucić”. Ale co odrzucić? Odpowiedź dają dalsze wywody.

Czytamy mianowicie, że dziedzictwo Oświecenia wymaga rewizji w trzech głównych punktach. Pierwszy to „wartości absolutne”. Oświecenie podważyło je, przekonując nas, że „wszystkie ludzkie przeświadczenia o tym, co złe i dobre, są kulturalnie związane, historycznie względne i że ludzkość dość się już nacierpiła z powodu walk między rozmaitymi doktrynami i religiami, których wyznawcy głęboko byli przekonani, że są jedynymi i uprzywilejowanymi nosi-

cielami prawdy absolutnej. Sceptycyzm humanistyczny, razem z jego negacją «wartości absolutnych», wykuł potężną broń przeciw fanatyzmowi sekciarskich waśni i położył fundament pod instytucjonalny szkielet pluralistycznego i tolerancyjnego społeczeństwa” (s. 252-253). Zdawałoby się, że można temu tylko przyklasnąć. Ale, jak się okazuje, ujawniły się i niebezpieczne strony takiego pluralizmu i tolerancji, a mianowicie, uznanie względności wszystkich wartości.

Dalej Kołakowski obszernie krytykuje modny dziś relatywizm, wedle którego np. zachodnie wartości nie muszą być dobre dla innych cywilizacji. Z krytyką tą zgadzam się całkowicie. Jestem też przeciwnikiem relatywizmu tak w zakresie etyki, jak i teorii poznania. Ale czy szerząca się dziś epidemia relatywizmu ma coś wspólnego z Oświeceniem? Głosiło ono kult rozumu i postępu, ważny przecież dla całej ludzkości. A co do wartości, to, o ile wiem, nikt z filozofów tej formacji nie twierdził, że to, co złe dla Europejczyków, może być dobre dla Azjatów (a mówią tak różni współcześni relatywiści!). Zdaje sobie z tego sprawę Kołakowski, pisząc: „I jeśli nawet wielcy mistrzowie Oświecenia niekończąc rozwijali swoje relatywistyczne doktryny w formie, która, jak sądzę, wywiera paraliżujący wpływ na dzisiejszą naszą zdolność do zwalczania nietolerancji i zła, zasiali oni dobre ziarno, które, jak miało wyjść na jaw, wydało niebezpieczne owoce” (s. 255). Nie uważam, aby należało w ogóle mówić o „relatywistycznych” doktrynach Oświecenia. Negowanie tego, że wartości są absolutne i niezmiennie na mocy „boskich wyroków”, to jeszcze nie relatywizm.

Co więcej, współcześni wielbiciel Oświecenia bronią go właśnie przed relatywistami. Fizycy A. Sokal i J. Bricmont w słynnej już książce krytykują modny w kręgach humanistycznych Francji i USA postmodernizm, pisząc: „chodzi o intelektualny prąd, którego cechą charakterystyczną jest [...] odrzucenie racjonalistycznej tradycji Oświecenia [...] oraz poznawczy i kulturowy relatywizm” (*Impostures intellectuels*, Paris 1997, s. 11).

Oczywiście, każdą doktrynę można doprowadzić do absurdu, gdy się ją rozwija bezmyślnie, w sposób prymitywny i skrajny, w tej liczbie idee pluralizmu i tolerancji. Czy jednak podważa to wartość pluralizmu i tolerancji? Czy uprawnione jest traktowanie ich jako ziaren, które mogą wydać niebezpieczne owoce?

To samo można powiedzieć o dwóch pozostałych obiekcjach wobec Oświecenia. Druga z nich dotyczy statusu osobowości ludzkiej. Chodzi o tezę o społecznej naturze ludzi, którą zresztą, jak zauważa Kołakowski, powtarzano przez dwadzieścia trzy stulecia. Uznając, że teza ta jest banalna, gdy jej sens polega na tym, iż jesteśmy ukształtowani przez środowisko ludzkie, bez którego nie moglibyśmy przetrwać, oświadcza on, że nie można jej jednak uznać w tym sensie, że „realność każdego z nas jest całkowicie sprowadzalna do tego, co inni nam dali” (s. 256). Zgoda, ale kto tak twierdził?

Dalej czytamy, że wiara w „nieredukowalny i niepowtarzalny rdzeń osobowości”, choć niedowodliwa naukowo, jest podstawą pojęcia godności osobistej i praw ludzkich. I z tym się zgadzam. Nie wiem, czy filozofowie oświeceniowi

przeczyliby tej tezie, nikt bowiem chyba jej wówczas tak nie formułował. Następnie Kołakowski pisze o niepokojących konsekwencjach doktryny, wedle której „osobowość ludzka jest bez reszty dziełem społecznym”, w szczególności o erozji pojęcia i poczucia osobistej odpowiedzialności. Przytacza groteskowe przykłady przestępców, którzy powołują się na to, że tak zostali ukształtowani przez społeczeństwo... Jednakże ani żaden oświeceniowy filozof, ani żaden heglista, marksista itp. nie przeczyli przecież odpowiedzialności jednostek i potrzebie wymiaru sprawiedliwości. Widocznie nie uważali, że ludzka osobowość jest całkowicie sprowadzalna do środowiska społecznego.

Trzecia obiekcja to „erozja świadomości historycznej”, wskutek której dziedzictwo Oświecenia stało się „destrukcyjną siłą”(!) naszej cywilizacji. Kołakowski zauważa zresztą, że prąd ten zaczyna się od F. Bacona i Kartezjusza. Chodziło o to, że, po pierwsze, dla postępów nauki i techniki historia wydawała się zbyt ciężka, po drugie zaś, do podobnych wniosków prowadziło odrzucenie kultu tradycji. Cóż, działacze Renesansu i Oświecenia, jak wszyscy nowatorzy, istotnie nie doceniali tradycji, co, jak to zwykle bywa, wyrównywały następne pokolenia, ale dlaczego traktować niedocenywanie pewnych spraw jako „niszczyielską siłę”?

W jednym zgadzam się z krytyką Oświecenia. Jego reprezentanci i ich następcy grzeszyli swoistą naiwnością. Wierzyli, że wolność, sprawiedliwość, równość, pokój, braterstwo, dobrobyt mogą być „budowane łącznie, w harmonijnym postępie” (s. 261). Wiemy dziś, że tak nie jest, że między tymi sześcioma ideałami zachodzą rozmaite konflikty, co zresztą nie znaczy, aby z jakiegokolwiek z tych ideałów należało zrezygnować.

Racjonalizm

Zajmiemy się teraz nieco bliżej racjonalizmem (rozumianym jako przeciwieństwo irracjonalizmu), który jest nieodzownym składnikiem Oświecenia. Zdawałoby się, że Kołakowski, wychowany w tradycji racjonalistycznej, będzie kładł nacisk na zalety tego kierunku. Ale nie: mówi głównie o zagrożeniach, jakie on ponoć niesie. W *Apokalipsie* twierdzi, że nawet jeśli zredukujemy racjonalizm (o niego chodzi, chociaż autor mówi: „Oświecenie”) „do minimum Kantowskiego *sapere aude*, napotykamy już jądro trwałego, nieuleczalnego konfliktu. Hasło to, gdy je do pełni konsekwentnie doprowadzić, zakłada nie tylko, że rozum ma prawo przenikania wszędzie, gdzie zechce, ale ponadto, że ma monopol na rozstrzyganie o prawomocności wszystkich pytań i wszystkich odpowiedzi, jakie w naszej myśli mogą się pojawić, oraz że kryteria prawomocności ustalone są stosownie do korpusu nauki, jaka w danym momencie istnieje. Prawdą jest, że ta scjentystyczna (bo nie można powiedzieć: naukowa) doktryna była niezbędna dla rozkwitu wiedzy naukowej w czasach nowożytnych, ale zwracała się też, najoczywiej, przeciwko chrześcijaństwu, przeciw wszelkiej

religii, jako że religia we wszystkich swoich odmianach czerpie swoją siłę i prawomocność z odziedziczonej tradycji i objawienia boskiego” (s. 45).

Mowa więc tu o pozytywach oświeceniowego racjonalizmu, utożsamionego zresztą ze scjentyzmem, polegających na sprzyjaniu rozkwitowi nauki, ale akcent jest położony na negatywy. Okazuje się, że nie jest dobrze, gdy rozum „ma prawo przenikania wszędzie, gdzie zechce”! Czyżby należało zakazać mu wstępu do pewnych obszarów? Kto miałby nałożyć taki zakaz i pilnować jego przestrzegania? Jakoś nie pasuje mi do Kołakowskiego rola policjanta. Jak widać z dalszego ciągu, broni on religii, czerpiącej prawomocność z tradycji i objawienia. A więc krytycyzm wobec zastanej tradycji ma być dobry tylko w dziedzinie nauki i techniki, ale już nie w innych dziedzinach, w których, jak widać, należy bezkrytycznie przyjmować tradycje, nie mówiąc już o objawieniu. I pomyśleć tylko, że kiedyś Leszek przeciwstawiał postawę błazna postawie kapłana.

Najciekawsze zaś jest to, że rolę policyjną przypisuje on racjonalizmowi! W odczycie *Rozpad komunizmu jako wydarzenie filozoficzne* (1993), o którym szerzej będziemy mówić w następnym rozdziale, mówi, że ideologia komunistyczna była w zamyśle racjonalistyczna, „racjonalizm zaś oznacza zasadę, w myśl której procedury stosowane w nauce dostarczają nam uniwersalnego miernika wyrokującego o tym, co w naszym poznaniu cenne, a co bezwartościowe, i co ma lub może mieć ważność na wszystkich obszarach życia duchowego. Jest więc racjonalizm systemem zakazów, wytyczających nieprzekraczalne granice naszemu myśleniu, naszej ciekawości i wyobraźni. Podszeptuje on nam również, choć niekoniecznie mówi to wyraźnie, że wszelkie problemy ludzkie są techniczne, i gdy tylko wynajdzie się stosowną technologię, zostaną one z jej pomocą rozwiązane. Pierwsza zasada jest arbitralną normą, druga zaś jest całkowicie niewiarygodna. Obie były wpisane w ideologię komunistyczną. I gdy ktoś powiada, że była to karykatura racjonalizmu, można mu odpowiedzieć: owszem, ale była to dobra karykatura, a w karykaturze ukazane są w sposób przerysowany cechy oryginału; ukazuje ona wszystko to, co w nim śmieszne i brzydkie, podobnie jak czynią to karykatury ludzi. Karykaturalna ideologia ujawnia to, co w jej nie-karykaturalnym źródle stanowi potencjał wrogi człowiekowi i zagrożenie dla kultury” (s. 373-374).

Przytoczyłem ten fragment *in extenso*, gdyż trudno mi było uwierzyć, że coś takiego może być napisane poważnie. Co się tyczy komunizmu, to istotnie wytyczał on granice naszemu myśleniu, ciekawości i wyobraźni. Ale przecież nie dlatego, że był racjonalistyczny! Racjonalizm właśnie żadnych granic naszemu myśleniu i ciekawości nie zakreśla. System komunistyczny zaś był dogmatyczny, wymagał ślepej wiary, co jest objawem irracjonalizmu (niestety, zrozumiałem to, podobnie zresztą jak i Leszek, nie od razu). Wobec tego był nie karykaturą racjonalizmu, ale jego zaprzeczeniem.

Wróćmy do racjonalizmu. Dowiadujemy się, że w kierunku tym, który popieram wraz z większością filozofów, a także uczonych na świecie, tkwi „potencjał wrogi człowiekowi i zagrożenie kultury”! Skąd ten monstrualny wniosek? Czytamy dalej: „W ramach racjonalizmu oświeceniowego kategorie dobra i zła nie dają się zrekonstruować, nauce są one nieznane i, jeśli nie wręcz zakazane, w najlepszym razie pozostawia się je w gestii irracjonalnych ludzkich impulsów” (s. 375). Czy Kołakowski sugeruje, że racjoniści ignorują etykę? Bez kategorii dobra i zła człowiek nie może się obejść, wydaje się to oczywiste. Niektórzy uważają je za względne, ale są to zwykle przeciwnicy racjonalizmu. Czy pojęcia dobra i zła są nieznane nauce? Nawet gdyby tak było, uczeni mogliby uznawać etykę, obok nauki, i niekoniecznie jako sferę irracjonalnych impulsów.

Racjoniści zawsze przywiązywali wagę do etyki. Tadeusz Kotarbiński mówił, że sfera moralności jest najważniejsza ze wszystkich. A przecież był racjonalistą i ateistą. Czyż i on nosił w sobie „potencjał wrogi człowiekowi i zagrożenie dla kultury”?

Wiemy, że w imię „kultu rozumu” posyłano na gilotynę, podobnie jak w imię zbawienia duszy na stos. Sam Kołakowski zresztą mówi w *Apokalipsie*, że „z każdego tworzywa ideologicznego można zrobić pałkę do zabijania ludzi: niech to będzie Bóg Starego Testamentu albo nawet — trudniejsze to, ale możliwe — Jezus Chrystus, Koran, oczywiście, idea równości, promienna przyszłość socjalistyczna, rasa, plemię, naród [...]. Rozum także mógł być z powodzeniem uzasadnieniem rewolucyjnego terroru, zarówno u jakobinów, jak i u bolszewików. Oświecenie, romantyzm, religia — wszystko się nadaje” (s. 51). Ale skoro tak, to oskarżanie Oświecenia czy racjonalizmu o złowrogie skutki jest tyleż uzasadnione, co oskarżanie o nie romantyzmu i religii.

Komunizm

Niektórzy krytycy Oświecenia utrzymują, że jego spadkobiercą jest dwudziestowieczny totalitaryzm. Jest to teza jaskrawo fałszywa, gdy chodzi o faszyzm, w szczególności hitleryzm. Był on właśnie irracjonalny, odwoływał się bowiem do mitów, do tradycji bohaterów plemion germańskich, do mitu *Blut und Boden* itp. Dobrze zdaje sobie z tego sprawę Leszek Kołakowski, który, w odróżnieniu od wielu innych, nie mówi o totalitaryzmie w ogóle jako o spadkobiercy Oświecenia, lecz tylko o komunizmie.

Jeśli chodzi o marksizm, to istotnie jednym z jego źródeł był racjonalizm oświeceniowy, obok heglizmu, a także francuskiego socjalizmu i angielskiej ekonomii politycznej, też zresztą jakoś z Oświecenia wyrastających. A jak wygląda sprawa w XX wieku? Spadkobiercami Oświecenia są liberałowie i socjaldemokraci. Komunistów zaś określiłbym raczej jako zdrajców Oświecenia, właśnie ze względu na wspomniany wyżej dogmatyzm, żądanie ślepej wiary i posłu-

szeństwa, zabezpieczane represyjną polityką w krajach, w których zdobyli władzę. Co prawda, zdrada ta nie była całkowita, gdyż pewne elementy Oświecenia pozostały, ale je właśnie należy ocenić pozytywnie, o czym niżej.

Kołakowski traktuje komunizm jako kontynuatora Oświecenia, chociaż w wykładzie *Komunizm jako formacja kulturalna* (1985) mówi, że był to „zdegenerowany potomek” Oświecenia i XIX-wiecznego socjalizmu (s. 365). Stwierdza, że komunizm „narodził się jako ruch quasi-religijny, tzn. jako ideologiczny wyraz potrzeby ostatecznego zbawienia”, że była to „karykaturalna imitacja religii” (s. 370), co przecież nie pasuje do Oświecenia. A jednak utrzymuje, że bankructwo ideowe komunizmu „jest jednocześnie porażką tegoż Oświecenia, którego był ostatecznym, najbardziej konsekwentnym, a przez to samoniszczycielskim wyrazem” (tamże). Imitacja religii jako najbardziej konsekwentny wyraz Oświecenia!

Kołakowski nie jest, oczywiście, prymitywnym antykomunistą, jakich dziś wielu. Pisał, że komunizm „jest zjawiskiem historycznym o ogromnym znaczeniu i nie daje się zrozumieć przez samo potępienie lub wydziwianie nad łatwowiernością czy przekupnością jego wyznawców” (s. 364). Mimo to i jego krytyka komunizmu w pewnych punktach jest przesadna, uproszczona. Chodzi przede wszystkim o tezę, ponoć „dobrze wszystkim znaną”, o „niszczycielskiej i anty-kulturalnej funkcji komunizmu”, która była w dodatku „wbudowana w ten system od samego początku” (s. 353). Kołakowski dostrzega to, iż komunizm przyciągnął, obok miernot, również wielu autentycznych twórców. „Jest bezsporne, że w pewnych okolicznościach historycznych komunizm zarówno wytworzył dość silne pole grawitacyjne dla środowisk kulturalnie aktywnych, jak też okazał się inspiracją dla dzieł, które ostały się jako składniki intelektualnego i artystycznego życia w naszym stuleciu, że więc istniał nie tylko jako odrębna forma cywilizacyjna, która pustoszyła [...] ciągłość historyczną Europy, uśmiercając w swoim zasięgu władzę ekspresję duchową, ale także jako zasobnik energii, która tę ekspresję pobudzała” (s. 356). Następnie zastanawia się nad tym, dlaczego komunizm stał się znacznie bardziej atrakcyjny dla twórców kultury niż faszyzm, przytaczając liczne przykłady. Jak widać, niszczenie kultury przez komunizm nie wygląda tak prosto.

Spróbuję teraz przedstawić nieco szerzej sytuację w klasycznym kraju komunizmu, ZSRR. Czy niszczone tam kulturę? Nieraz tak. Jaskrawym przykładem było wysadzenie w powietrze w 1931 roku, na rozkaz Stalina, monumentalnego Chrama Chrysta Spasiciela. Był to jednak wypadek raczej odosobniony. Pozostał piękny Sobór Wasylija Błazennego na Placu Czerwonym, a także ważniejsze budowle sakralne Petersburga, Kijowa i innych miast. Większość cerkwi w kraju zamknięto, urządzając w nich — w najlepszym wypadku — muzea ateizmu, a w najgorszym — magazyny. A już w pierwszych latach władzy radzieckiej, na rozkaz Lenina, okradziono cerkwie z najcenniejszych przedmiotów liturgicznych, które zasilili skarb państwa (najczęściej sprzedawano je). Kapła-

nów, którzy próbowali się temu sprzeciwić, aresztowano, a nieraz rozstrzelowano.

A jak wygląda sprawa z pozostałym dziedzictwem kultury? O ile wiem, zachowały się wszystkie zasoby muzeów i galerii, włączając w to obrazy o tematyce religijnej, chociaż bywały usuwane z reprezentacyjnych sal, aby dać miejsce obrazom czy rzeźbom socrealistycznym. Zachowały się też książki w bibliotekach, chociaż niektóre trafiały do działów prohibitów, do których tylko nieliczni mieli dostęp.

W pierwszych latach po rewolucji październikowej awangardowe kierunki w malarstwie i innych gałęziach sztuki uzyskały szerokie możliwości, znacznie większe niż za caratu. Rozwinęli wówczas skrzydła Kandinski, Malewicz, Chagall. Ale trwało to niedługo. W latach trzydziestych potępiano całą nowoczesną sztukę jako „dekadencją” i typową dla okresu „imperializmu”, czyli „schyłkowego” kapitalizmu. Uznawano tylko sztukę realistyczną, a promowano realizm socjalistyczny. Prace artystów nie zaliczanych do realistów nie były wystawiane.

Podobnie było w literaturze. Potępiono odejście od realizmu w okresie „imperializmu”. Nie wydawano Prousta, Joyce’a, Kafki. Te właśnie trzy nazwiska propaganda wymieniała zwykle jako symbol dekadencji w literaturze. Jak to w totalitaryzmie, czytelnik musiał uwierzyć, że to źli pisarze, chociaż nie miał możliwości zapoznania się z ich twórczością (dopiero za Chruszczowa udało się grupie pisarzy przeforsować w KC zgodę na wydanie Kafki). Tym bardziej nie wydawano współczesnych filozofów „burżuazyjnych”. Nie wydawano, oczywiście, też pisarzy radzieckich, którzy padli ofiarą represji lub wyemigrowali. No, a wszyscy podlegali cenzurze, niektórzy miewali zakazy druku.

Wszystko to były niewątpliwie przejawy niszczyielskiej roli komunizmu w zakresie kultury. Ale tylko kultury współczesnej. Żadnymi zakazami nie była obłożona kultura poprzednich epok. Co więcej, klasyków literatury rosyjskiej i światowej wydawano w masowych nakładach (oczywiście, na złym papierze, bez twardych okładek) już w latach dwudziestych i trzydziestych, gdy żadnemu z krajów zachodnich takie nakłady jeszcze się nie śniły (dopiero później pojawiły się tanie *paperback*). Tomasz Mann był poruszony, gdy się dowiedział, że w ZSRR wydają Goethego w nakładach większych niż kiedykolwiek w Niemczech. Ktoś później powiedział, że nakłady Goethego przesłoniły mu Gułag. Oczywiście, nie powinny. Ale z drugiej strony, masowy terror nie powinien przesłaniać masowych nakładów. Nie chcę przez to powiedzieć, że pozytyw i negatyw tu się równoważą. Te ostatnie przeważają, gdyż terroru nic zrównoważyć nie może. Dlatego też przy ocenie komunizmu bilans wypada ujemnie. Nie znaczy to wszakże, aby mówiąc o złym systemie, należało pomijać to, co było w nim dobre.

Przejdźmy teraz do nauki. Trudno zresztą mówić o nauce *en bloc*. Nauki humanistyczne były poddane głęboko sięgającej indoktrynacji i wyjąłowieniu, ale i tu sytuacja w różnych naukach nie była jednakowa. Najgorszy był los his-

torii, zwłaszcza najnowszej, ekonomii politycznej, nauki o państwie i prawie, filozofii, zwłaszcza społecznej (socjologia w ogóle nie istniała). Były one całkowicie zależne od bieżącej polityki, musiały się kierować wytycznymi zawartymi w uchwałach ostatnich zjazdów partii komunistycznej i przemówieniach ich przywódców, a zatem o żadnych własnych wnioskach nie mogło tu być mowy. Gdy zaś czasem udawało się je komuś w jakimś zakresie przemycić, był atakowany przez czujnych strażników ortodoksji; powstał nawet taki trudny do przetłumaczenia rosyjski termin-bat: *otsiebiatina*.

Odmierna była sytuacja nauk przyrodniczych, chociaż i one nie były wolne od nacisków ideologicznych, których uniknęła chyba tylko matematyka. Na to ostatnie zwraca uwagę i Kołakowski w *Rozpadzie komunizmu*: „w okresie stalinowskim nauka, z wyjątkiem matematyki, podporządkowana była normom ideologicznym” (s. 374). Czy jednak należy mówić o „podporządkowaniu”? Tak było, jak stwierdziliśmy, nawet nie we wszystkich naukach humanistycznych, tym bardziej zaś przyrodniczych. Na ogół naciski ideologiczne dotyczyły nie samych nauk, lecz tylko ich interpretacji filozoficznej, w każdym razie gdy chodzi o fizykę czy chemię. Krytykowano jako idealistyczne niektóre wypowiedzi Einsteina, Bohra czy Heisenberga, ale nie samą treść teorii względności czy mechaniki kwantowej. Pewne deklaracje filozoficzne i jakieś cytaty z klasyków marksizmu dodawano, na ogół we wstępach, do podręczników (w publikacjach naukowych i to nie było potrzebne, gdy się unikało „filozofii”) i to wystarczało. Zresztą interpretacja filozoficzna mechaniki kwantowej była przedmiotem zacieklej polemiki wśród fizyków radzieckich. Wszyscy, rzecz jasna, opowiadali się za materializmem dialektycznym, ale były to częste deklaracje. W. Fock, wraz z wieloma innymi, zajmował stanowisko bliskie „szkoły kopenhaskiej” (choć też krytykował pewne filozoficzne wypowiedzi Bohra), D. Błochincew lansował koncepcję „zespołów kwantowych”, a J. Terlecki jeszcze dalej sięgającą koncepcję deterministyczną (bliską poglądom D. Bohma).

A jak wyglądała sprawa teorii względności? Wbrew lansowanym u nas często opiniom (nie głosi ich Kołakowski), w ZSRR wysoko ceniono Einsteina jako fizyka (nie filozofa!), zresztą Lenin nazwał go jednym z „reformatorów współczesnego przyrodoznawstwa”. Co prawda, w 1952 r. kilku filozofów zaatakowało teorię względności w tzw. zielonej książce (chodzi o kolor okładki), pojawiło się tam nawet okropne wyrażenie „rieakcyonnoje ejnsztejnianstwo” i groteskowy pomysł zmiany nazwy teorii względności, ale i tam nie proponowano zmiany żadnej z jej formuł. Zresztą kilka miesięcy później umarł Stalin, ośmieszeni tym czołowi fizycy rosyjscy skrytykowali zieloną książkę, a jej redaktorzy już nie powtórzyli swego ataku, który nie przetrwał i roku. Trzeba stwierdzić, że w jednej dziedzinie nauk fizycznych za Stalina odrzucano całą teorię. Chodzi o kosmologię relatywistyczną, tzn. zastosowanie ogólnej teorii względności (którą uznawano!) do kosmologii, potraktowano bowiem samo dopuszczenie możliwości skończoności przestrzennej wszechświata jako idealizm! W końcu lat

pięćdziesiątych radzieccy filozofowie nauk przyrodniczych (śladem polskich) zaczęli się wycofywać i z tego. W chemii w pewnym okresie odrzucano „teorię rezonansu” Paulinga jako rzekomo idealistyczną, ale był to epizod, który nie trwał długo. Odrzucano też cybernetykę jako rzekomo „mechanistyczną”, chociaż rozwijano ją (unikając samej nazwy) w wojsku.

Ogólnie rzecz biorąc, takie nauki, jak fizyka i chemia, nie mówiąc już o matematyce, osiągały w ZSRR duże sukcesy, nagrodzone w paru wypadkach Nagrodą Nobla. Bez tego niemożliwe byłoby przecież skonstruowanie bomby atomowej, a potem wodorowej, kilka lat po Amerykanach, czy wystrzelenie Sputnika, nawet przed Ameryką. Nie żałowano na to środków, chociaż większość ludności żyła w biedzie. Rozumiejąc rolę fizyki w tym wszystkim, Stalin nie wtrącał się do dyskusji w jej zakresie, dzięki czemu dyskusje te były w ogóle możliwe. Inaczej stało się niestety w biologii.

Trofim Łysenko już w latach trzydziestych lansował tzw. biologię miczurinowską, atakując „formalną” genetykę, której zarzucał zarazem mechanicyzm i idealizm. Popierali go niektórzy filozofowie, większość jednak broniła genetyki, dowodząc, że jest ona zgodna z materializmem dialektycznym (np. mutacje to skoki dialektyczne). Uczyłem się w Moskwie i pamiętam, że mieliśmy w IX klasie (lata 1935–1936) duży i interesujący kurs genetyki. Byliśmy indoktrynowani, ale nie na lekcjach nauk o przyrodzie. Jednakże w 1948 r. Łysenko przekonał Stalina do swoich koncepcji i gdy ogłosił na sławetnej sesji Akademii Nauk Rolniczych, że jego referat ma aprobatę KC, genetycy zamilkli, a filozofowie zaczęli dowodzić, że tylko biologia miczurinowska jest zgodna z materializmem dialektycznym (niestety ja też w to wówczas uwierzyłem). Wkrótce Łysenko zdołał dokumentnie zniszczyć rosyjską genetykę, która potem długo nie mogła się odrodzić. Jak widać, winna była temu nie tyle filozofia marksistowska, a tym bardziej nie racjonalizm, lecz ustrój totalitarny, w którym opinia dyktatora decydowała o wszystkim.

*

Czy można powiedzieć, że komunizm zrywał ciągłość historyczną Europy? Leszek przytacza cytat z oryginału Międzynarodówki (w przekładach nie zawsze tak wyraźny): *du passé faisons la table rase*. Zauważa, że to dążenie do odcięcia się od przeszłości było szczególnie widoczne u futurystów i surrealistów. Było niewątpliwie obecne bezpośrednio po rewolucji październikowej. Co prawda, nie dorównała ona rewolucji francuskiej: jakobini stworzyli nowy rewolucyjny kalendarz, bolszewicy ograniczyli się do zastąpienia kalendarza juliańskiego przez gregoriański, co można uznać za zerwanie z tradycją prawosławia, ale przecież nie Europy. Śpiewano jednak: „otrieczomsia ot starogo mira, otriachniom jego pyl s naszich piat”.

Ale popularność tego rodzaju haseł nie trwała długo. Wkrótce, już w latach dwudziestych, przywrócono szacunek dla tradycji kultury europejskiej, z jed-

nym wyjątkiem: tradycji religijnej. Nie było nowych wydań Biblii czy Koranu, ograniczano do minimum działalność wszystkich kościołów. Pod tym względem niewątpliwie zrywano z tradycją. Jednakże, jak mówiliśmy, zaczęto wydawać w masowych nakładach klasyków literatury, od Homera do Galsworthy'ego i Hemingwaya (obaj byli w ZSRR bardzo popularni), z wyjątkiem tych, których uznano za dekadentów. Wydawano też klasyków filozofii, co prawda, tylko przedmarksowskiej, bo niemarksieści po Marksie byli uznawani za reakcjonistów. Gdy chodzi o nauki ścisłe, nie było już żadnych ograniczeń: publikowano również uczonych współczesnych, czasem tylko krytykując w przedmowach ich filozoficzne wypowiedzi. Doceniano też całą historię sztuki, łącznie z dziełami o tematyce religijnej, wyłączając tylko zrywającą z realizmem sztukę nowoczesną.

Czy zatem można mówić o niszczycielskiej funkcji komunizmu w odniesieniu do tradycji kulturalnej Europy? W pewnej mierze tak, ale w niewielkiej.

Czy komunizm był spadkobiercą Oświecenia, czy też jego zaprzeczeniem? I jedno, i drugie. Był spadkobiercą Oświecenia, gdy kładł nacisk na rozwój nauki, techniki i oświaty. Był jego zaprzeczeniem, gdy szerzył ślepą wiarę w swe dogmaty i zastępował argumenty represjami. A zatem, to, co było w komunizmie pozytywne, było wyrazem przejęcia idei Oświecenia, a to, co negatywne, czyli cały system terroru i indoktrynacji, wyrazem zdrady tych idei. Niestety to, co negatywne, przeważało i określiło istotę systemu komunistycznego. Dlatego też można powiedzieć, że był on, w sumie, zaprzeczeniem Oświecenia i racjonalizmu.

*

Na marginesie odnotuję, że Kołakowski po upadku komunizmu, który piętnował zasadnie, znalazł nowego wroga — kulturę liberalną. W *Rozpadzie komunizmu* mówi: „Zwykliśmy byli obarczać komunizm winą za zanik wszystkich tych podpór, na których opiera się nasza cywilizacja: kryteriów dobra i zła, prawdy i fałszu, dziejów jako siły wiążącej, zastanego ładu świata. Wydaje się jednak, że nasza kultura liberalna jeszcze konsekwentniej niż komunizm niszczy te podpory. Popularny relatywizm jest, rzecz jasna, bardzo wygodny, uwalnia on nas od idei odpowiedzialności i obowiązku, i zdaje się, że głównie w taki sposób używa się dziś u nas słowa «wyzwolenie»” (s. 385). W taki sposób przecież, pomyślałem sobie, rozumują fundamentaliści religijni, ale na szczęście zaraz po tym czytam: „[...] fundamentalizm religijny można, po części, uważać za chorobliwą reakcję na to niebezpieczeństwo, za równie niebezpieczne *votum* nieufności dla naszej kultury” (s. 386). Dalej znów mowa o tym, że ludzie dziś uciekają od odpowiedzialności, zwalając wszystko na społeczeństwo i wymagając wszelkich dóbr od państwa.

Wymienione zjawiska na pewno istnieją, ale nie są przecież powszechne. Występowały zresztą i dawniej. Liberalna kultura może rodzić pokusę relaty-

wizmu i nieodpowiedzialności, ale nie musi. Co więcej, liberałowie najczęściej domagają się ścisłego przestrzegania prawa, a więc osobistej odpowiedzialności, uważają też, zwłaszcza dziś, w dobie „globalizacji”, że prawo winno być wszędzie jednakowe, są zatem przeciwnikami relatywizmu.

*

We wrześniu 2000 r. odbył się na KUL-u w Lublinie Kongres Kultury Chrześcijańskiej, na którym Leszek był jednym z głównych mówców. Mówił głównie o chrześcijaństwie, ale w dyskusji, zachęcony przez organizatora Kongresu, arcybiskupa Józefa Życińskiego, skrytykował postmodernizm, w szczególności Derridę. Powiedział, m.in.: „Mogę streścić główną myśl Kartezjusza albo Spinozy, albo Leibniza, ale streścić filozofię Derridy niepodobna” („Tygodnik Powszechny”, nr 40, 1 X 2000). Przeciwwstawił zatem trzech klasyków racjonalizmu (wprawdzie przedoświeceniowego) jednemu z najbardziej radykalnych dzisiaj wrogów racjonalizmu. Może więc znów nawróci się na racjonalizm, a nawet na Oświecenie?

Enlightenment, Rationalism and Communism. A Polemic with Leszek Kołakowski

The article defends the Enlightenment as a historical period and enlightenment as a mental attitude, advocating thereby and defending rationalism against its critics, especially Leszek Kołakowski. The author points out that communism, at the time when its political influence was strong, rejected rationalism and espoused dogmatism, indoctrination and terror. Instrumental treatment of other people's minds was a manifestation of irrationalism, says the author, and finds the position indefensible.